

Nasza ocena

»Aktor« Cypriana Kamila Norwida

Prapremiera w Teatrze» Wybrzeże«

BYŁ jeszcze Norwid, kiedy dwa teatry — warszawski i lwowski miały zamiar przystąpić do wystawienia „Aktora” na swych scenach. Ale poza korespondencją z poetą prezesa dyrekcji warszawskich Teatrów Rządowych Hankego, który domagał się nadesłania tekstu komedii oraz zapewnień — również listownych — dyrektora A. Miłszewskiego ze Lwowa, że słuszną rzeczą będzie pokazanie publiczności lwowskiej tej „komediodramy”, sprawa dalej się nie posuwała.

Mineło 76 lat od śmierci Cypriana Kamila Norwida. Milczenie, jakie towarzyszyło jego twórczości za życia, zamieniło się po śmierci w... ciszę, od czasu do czasu tylko przerywaną. Komentarze Miriama — Przemyskiego — jak je ocenia Mieczysław Jastrun — pełne złego smaku i nieporozumień — następnie nieśmiałe próby wprowadzenia na scenę norwidowskich utworów dramatycznych, parę zaledwie razy przez sceny zawodowe, niewiele więcej — na pół lub zgoła amatorskie.

„Wanda” w poprzedniczej warszawskiego „Ateneum” prowadzonej przez Szpakiewicza „Placówce Żywego Słowa”; „KLEOPATRA” we Lwowie, inscenizowana przez Horzyce; „PIERŚCIEN WIELKIEJ DAMY” w Reducie, reżyserowany przez Osterwę; wieczór jednoaktówek w Teatrze Nowym w Warszawie, w czasie którego wystawiono też „MIŁOŚĆ CZY STA U KAPIELI MORSKICH”; powojenna prapremiera w Toruniu, „ZA KULISAMI” przygotowana przez Horzyce; montaż pt. „DIALOGI MIŁOŚCI” w „Teatrze Rapsodycznym”, ostatnio wznowienie „PIERŚCIENIA WIELKIEJ DAMY” w Kielcach na 75-lecie poety, oraz przedstawienie w Poznaniu, „ZA KULISAMI” i „MIŁOŚĆ CZYSTA U KAPIELI MORSKICH”, przygotowywane jeszcze za życia Wilama Horzyce, chyba najwybitniejszego propa-

gatora Norwida w Teatrze, ale wystawione już bez niego, na wiosnę tego roku.

W ŚRÓD tego wylczenia nie ma „Aktora”. Niedzielne przedstawienie w Gdyni było więc wydarzeniem teatralnym niezwyklej wagi. Po raz pierwszy przyobłęczono w kształt sceniczny dzieło poetyckie, o którym tylko słuchy chodziły między ludźmi bliżej i głębiej interesującymi się sprawami dramaturgii. Jak to się niezbyt subtelnie określa: odbyła się prapremiera. Zdajmy sobie jednak sprawę z tego, że to była prapremiera, jak wspominałem wyżej — niezwyklej wagi. Prapremiera o znaczeniu doniosłym, którą odnotuje historia literatury. I nie to najważniejsze, czy szeroka publiczność chętnie będzie oglądać „Aktora”, czy zrozumie wielkość tego poety, czy będzie umiała zachwycać się jego żywiołowością, zwierznością stylu, czy zauważy brak taniego sentymentalizmu, a rozsmakowywać się będzie we wspaniałych strofach, budowanych z łańcuchem wprost jasnością, mniejsza o to wszystko — teatr przecież nie tylko ma służyć tej tak zwanej szerokiej publiczności. Ma też i inne cele. W imię tych innych, istotnych i wielkich celów — wystawiono „Aktora”.

Zasługa to tym większa, że niewdzięczna. Tragiczna samotność Norwida, spowodowana może i tym, iż rzekomo „sprożaczył” język (tak przynajmniej twierdzą wielbiciele Słowackiego, nie chcący dostrzec walorów szorstkości wypowiedzi norwidowskich — gdyż ten malarz, rzeźbiarz i przede wszystkim poeta żył i tworzył prawie współcześnie z

autorem „Króla Ducha”, gdy poezja romantyczna nie podzielnie panowała w polskich sercach) ciągnęła się długo poza grób, ciągnie się dalej i teraz.

Nie zdaje mi się, by i u nas, na Wybrzeżu udało się przełamać owo norwidowskie osamotnienie. W rozmowach prapremierowych i przedtem jeszcze, w czasie przerw, w kulisach teatralnych, wyczuwałem iż Norwid nie przemówił do publiczności i został dla większości... samotny. Ale część widzów na pewno go zrozumiała, a jeśli nawet nie, to odczuła o co chodzi temu artyście, wagi na pewno największej.

NIE bez znaczenia jest też sprawa zrozumienia i odczucia postaci przez aktorów. Niby nie mają pola do popisu. A jednak. To w jaki sposób wcielają się w rolę, napisane przez Norwida, a przez nich interpretowane, jest sprawdzianem ich wyczucia kulturalnego, ich artystycznej intuicji.

Z jakimż na przykład skupieniem, wewnętrzną mocą, zagrał Bogdan Wróblewski hrabiego Jerzego. Nie w nim nie pozostało z farsy, w której z całym zamilowaniem się obraża. Przeżył po bankructwie, w ukochanym domu, wreszcie doprowadzające go na scenę — wygrał na miarę wielkiego aktorstwa.

Rezonowanie Gotarda Przonki-Keana, to również trudny orzech do zgryzienia dla aktora, grającego tę aktorską postać. Umiał go rozgryźć Józef Czerniawski, właśnie beznamietnie, właśnie z owym koniecznym z nim, które ma... ogrzewać. I Stanisław Dąbrowski, jako eksguwerner Werner, który nie zagubił gorącości uczuć, mimo iż wygrał na loterii majątek; i Kazimierz Talarczyk, jako baron Potomski, przykład arystokratycznego konkluturwicz; i Tadeusz Rosiński — książe Filemon, i Jerzy Goliński — Pierwszy; Zenon Dądajewski Drugi; Edmund Fetting — Inny; i Paweł Baldy — popijający i tromtadracko wspominający jakąś wymagowaną potyczkę nad Wieprzem, właściciel hotelu; i Mieczysław Nawrocki — służący hrabiny, szty-

wny, jakby kij połknął — wszyscy oni — podobnie jak i grający epizody Ryszard Moskaluk, Wiesław Ochmański, Stanisław Michalski (po co te przejaśnienia?), Ludwik Dzienniewicz (też niepotrzebne gierki) i Józef Skwierczyński — potrafili stworzyć atmosferę, którą swym kunsztem chciał Norwid wytworzyć w „Aktorze” i dzięki nim wytworzył na scenie Teatru „Wybrzeże”.

To, co powiedziałem nie znaczy wcale, aby panie grające w „Aktorze” nie były współtwórczyniami sukcesów przedstawienia. Wręcz przeciwnie. Przecież cały kształt nadała mu właśnie reżyserka Teresa Żukowska. Zrobiła to bez mała bezbłędnie, a błędy... — nie warto o nich mówić, wspominałem że zresztą, wytykając aktorskie potknięcia się.

Panią Helenę Sokołowską rzadko widzujemy na scenie. Zawsze jednak swe role obdarta taką dozą ciepła, że ze wzruszeniem patrzymy na inter pretowane przez nią postacie. Nicke Miroslawy Dubrawskiej mniej mi się podobała od innych ról tej artystki. Porównania nie wypadły tym razem na korzyść, przy tym gubiłem nieraz wątek kwestii, tak szybko padały jej słowa. Filicia z „komptuaru”, kochająca czystość i polującą na barona była niezawodna Lucyna Has a piękna aktorką Olimpia — jak zawsze pięknie wyglądająca Krystyna Łubieńska. Wreszcie na koniec Wisława Kosmalska — Eliza, córka hrabiny i siostra hrabiego Jerzego. Wcale to nie najmniejsza rola. Młoda aktorka zagrała ją z wdziękiem i dyskrecją, maskując uczucia, jak to trzeba było robić ośmiu w „dobrych domach”, ale równocześnie nie zagubiając ich całkowicie.

CZY scenografia Jana Banuchy była właściwa? Można na ten temat podyskutować, powtykać różne niekonsekwencje, jak np. malowane butelki za hotelową ladą, a prawdziwe lampy na teatralnej rampie. Ale — mimo to — mnie osobiście podobała się, zwłaszcza w odsłonach dziejących się w willi hrabiny, z dowiepnie maskowanymi portretami.

To chyba wszystko.

Marek Dulęba